



Wywiad z Dionizą Choroś, Nowa Zelandia

Ks. Andrzej Chibowski: Co Pani pamięta z zesłania na Syberię? W poprzedniej rozmowie opowiadała Pani o wywózce na Syberię. Czy cała rodzina tam dotarła?

Dioniza Choroś: Wszyscy dojechalśmy na Syberię. Moje trzy siostry, ja i mama. Tato został zabity jak tylko wkroczyli Sowieci. Do Kotłasu jechaliśmy pociągiem dwa i pół tygodnia. Tam kończyła się linia kolejowa do Archangielska. Ostatniej nocy w naszym wagonie urodziło się dziecko. Jego matka już miała dziewięcioro dzieci. Poród zaczął się wieczorem. Był bardzo ciężki. Strażnicy zamknęli wagon. Ludzie uderzali kawałkami drzewa w drzwi, żeby ktoś ze strażników pomógł. Nikt nie przyszedł. Dziecko urodziło się nad ranem. Jego ojciec rozplakał się. Był taki szczęśliwy. Mówił, że zawsze spełniał rolę akuszerki, ale tym razem był przekonany, że straci żonę i dziecko, bo były komplikacje. Rano Sowieci przysłali sanie i

zawieźli kobietę i jej dziecko do szpitala. Opuściliśmy pociąg. Noc spędziliśmy w jakimś magazynie. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam karaluchy. W nocy było bardzo zimno a one wychodziły ze wszystkich szpar i chodziły po naszej pościeli. Kolejne trzy dni jechaliśmy saniami do posiołków. Ciągnęły je małe, włochate koniki. Następną noc spędziliśmy w szkole a kolejną u jakiejś babuszki. To była cała karawana sań. Trzeciego dnia wąska droga prowadziła przez las. Było bardzo dużo śniegu. Żuliśmy zamrożony chleb i zbieraliśmy śnieg, żeby po roztopieniu ugasić nim pragnienie. Czuliśmy się jakbyśmy jechali wąskim tunelem, tyle że bez dachu.

Później jechaliśmy po zamrożonych rzekach. Dotarliśmy do rozwidlenia dróg. Karawana sań została rozdzielona w różnych kierunkach. Pod wieczór dojechaliśmy do jakiejś miejscowości. Przeczytałam na małej tabliczce przybitej do drzewa napis: *Nianda*. To była nazwa naszego posiołka.

Następnego dnia umieścili nas w barakach. Okazało się, że ten posiołek został zbudowany dla strażników pobliskich łagrów. Znajdowała się tam łaźnia, szpitalik, w którym pracował felczer – Żyd, stołówka. Dobudowali tylko trupiarnię. Dali nam dwa dni na rozpakowanie się i zrobienie prycz. Znajomy z Polski zrobił nam pryczę. Spałyśmy na waleta. Izby były bardzo małe. Piecyki stały na korytarzu – jeden na dwie izby.

Tam były miliony pluskiew. Wychodziły ze ścian, mchu, spadały z sufitu. Kiedy mama zapaliła zapalkę, było aż czarno od pluskiew. Nie mogliśmy spać. Rano delegacja poszła do komendanta prosić o wytrucie pluskiew. Komendant uśmiechnął się i mówi: *Przywykniesz, przywykniesz, albo zdechniesz*. Tak się rzeczywiście stało. Z czasem trochę przyzwyczailiśmy się do pluskiew, bo na początku ranki po ugryzieniach bardzo nas swędziały i bolały. Latem rozrabialiśmy glinę i zaklejaliśmy mech. Przez dwa, trzy tygodnie pluskwy atakowały nas mniej. Później, kiedy glina się wykruszyła, wygłodniałe insekty gryzły nas jeszcze bardziej.

Wieczorem odbyło się zebranie, na którym komendant powiedział, że będziemy pracować w lesie. Przez dwa dni szyliśmy rękawice z kawałka koca. Ludzie nie mieli odpowiednich butów, więc żeby było trochę cieplej owijali stopy onucami.

Ks. Andrzej Chibowski: Ile lat miała Pani wtedy?

Dioniza Choroś: 29 lutego 1940 roku spędziliśmy pierwszy dzień na posiołku. Tego dnia skończyłam 12 lat. Ojciec wychowywał nas jak synów, po wojskowemu. Byliśmy zahartowane i pracowite. Powtarzał: *uczcie się, bo jak nie, to w przyszłości będziecie pracować wynosząc cudze nocniki*. Osadnicy wojskowi nie mogli dzielić otrzymanej ziemi, dlatego tworzyli bursy w miastach i kładli duży nacisk na wykształcenie swoich dzieci.

W poniedziałek wszyscy poszliśmy do pracy. Mama została w baraku. Na chwilę wrócić jeszcze do wydarzeń na Kresach w dniu wywózki. Wpakowano nas do pociągu. Nie mieliśmy nawet chleba, bo była sobota i tego dnia mama miała upiec chleb na cały tydzień. Nie zdążyła... W niedzielę rano ktoś przyszedł do pociągu sprawdzić listę nazwisk. Kiedy skończył, mama biegłym rosyjskim zapytała czy może wyjść z wagonu i kupić chleb. Byliśmy zaskoczeni, kiedy powiedział: *da (tak)*. Mieliśmy krewnych, którzy mieszkali trzy kilometry od stacji kolejowej. Mama poszła do nich i tam upiekła chleb. Wieczorem wróciła do pociągu z workiem chleba. Dzięki temu nie głodowaliśmy przez całą drogę. Naszym chlebem dzieliliśmy się w wagonie z rodziną, która miała dziewięcioro dzieci.

Kiedy przyjechaliśmy na posiołek, mama zobaczyła, że zostały skórki od chleba. Po drugiej stronie drogi był barak. Przy płocie dwie kozy obgryzały suchą brzoźową miotłę.

Mama dała te skórki kozom. Podeszła do niej stara Tatarka. Zaprzyjaźniliśmy się z tą tatarską rodziną.

W posiołku były trzy warstwy ludzi. Do najwyższej warstwy należeli strażnicy, którzy posiadali broń. Drugą warstwę stanowili ludzie, którzy odsłużyli swoją karę, ale na jakiś czas byli pozbawieni prawa wyjazdu z posiołka. Musieli tam żyć i pracować. Trzecią warstwę tworzyliśmy my, którzy dopiero przyjechaliśmy. To była najniższa warstwa, nic nie warta.

Tatarska rodzina mieszkała na posiołku od 10 lat. Mąż odbył swoją karę a jego dobra żona przyjechała do niego z trójką nastoletnich dzieci. Nie chciała, żeby żył tam sam. Mieszkał tam również inni Tatarzy. Zaprzyjaźniliśmy się. Opiekowali się nami jak swoją rodziną a najbardziej ta starsza kobieta. Cierpiała na reumatyzm. Miała dużo wnuków. Do bani (łaźni) mogła iść tylko w dni, kiedy się nimi opiekowała. Tatarzy nie chcieli ich posyłać do sowieckiego przedszkola. Kiedy zobaczyła mnie i moją starszą siostrę Halkę, poprosiła nas, żebyśmy zaopiekowały się jej wnukami, aby ona mogła skorzystać z łaźni. Zgodziłyśmy się. Zrodziła się między nami szczera przyjaźń. Pomagaliśmy sobie wzajemnie.

Jeden z jej synów pracował przy zwożeniu ściętego drzewa nad rzekę, które wiosną spławiano jej nurtem. Kiedy wracał z pracy, często przywoził nam kłodę i zostawiał pod oknem. Dzięki temu miałyśmy czym palić w piecu. Raz w roku Tatarzy składali się i kupowali konia. Zabijali go na swoje święto. Wszyscy mieszkańcy posiołka dawali im na to jakieś pieniądze. My nigdy nie mieliśmy pieniędzy, ażeby im dać. Dwa lata tam mieszkaliśmy i co roku dostawaliśmy od nich końskie mięso. Wieczorem ta babuszka przynosiła nam mięso i jakieś korzenie. Tatar, który pracował w piekarni powiedział mamie, że szukają kogoś do pracy. Wtedy mama poprosiła komendanta o pracę w piekarni. Mówiła pięknie po rosyjsku. Komendant się zgodził. Mama dziękowała Bogu, że nie musi pracować w lesie. Pracy w lesie wszyscy bali się jak ognia.

Koleżanka, która mieszkała w pokoju obok opowiadała, że do pracy w lesie trzeba było iść prawie 10 kilometrów. Zapadali się po pas w śniegu. Docierali na miejsce wykończeni. Praca w lesie była bardzo niebezpieczna. Upadające drzewo zabiło dwóch ludzi. Widziałam ich ciała w trupiarni.

Mama ciężko pracowała w piekarni. Chleb pieczono na cztery zmiany. Czasem przychodziłam tam i widziałam jak Tatarowi i mamie pot spływa do ciasta. Mama była wykończona, ale tak się bała pracy w lesie, że zrobiłaby wszystko, żeby tylko zostać w piekarni. Rano nigdy nie widziałyśmy mamy w domu. Kiedy wracała z pracy, już spałyśmy. W niedzielę miała wolne, więc ze zmęczenia przesypiała pół dnia.

Byłam silną, wysoką dziewczyną. Zimą nosiłam wodę z rzeki na koromysłach dla żon wartowników. Nie otrzymywałam za to pieniędzy, ale zawsze dostałam coś do jedzenia.

Ks. Andrzej Chibowski: Jaki był komendant posiołka?

Dioniza Choroś: Na początku był dla nas dobry, bardzo ludzki. Wkrótce po przyjeździe na posiołek, zmarła pani Sawicka. To była jedyna osoba, która pochodziła z mojej wsi. Wieczorem po pracy Polacy zanieśli jej ciało na cmentarz. Postawili duży, piękny krzyż, który w słońcu świecił jak złoto. Wypalili na nim jej nazwisko. Żeby wykopać grób trzeba było palić ognisko, aby rozmiękla zmarznięta ziemia. To bardzo zaszkodziło komendantowi. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że go przenieśli dlatego, że pozwolił na umieszczenie krzyża na grobie.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy na posiołek przyjeżdżało NKWD?

Dioniza Choroś: Oni ciągle przyjeżdżali. Bez końca coś załatwiali w naszym obozie. Kiedy zabrali tego komendanta, przysłali nam innego. Ten nowy to była taka *собака (pies)* - tak wszyscy go nazywali. Był bardzo niedobry. Ciągle się złościł na wszystkich.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy komendant przyjechał do posiołka razem z rodziną?

Dioniza Choroś: Miał rodzinę, żonę. Mieszkali w oddzielnych barakach, lepszych niż nasze. Kiedy mama była bardzo chora i nic jej nie pomagało, poszliśmy z siostrą do tego baraku. Mieszkał tam lekarz, który pracował w łagrach. Poprosiliśmy go, żeby przyszedł do mamy i przepisał leki. Nie chciał. Opisałyśmy mu symptomy choroby mamy. Dał jakieś lekarstwo. Nie pomogło. Mamę leczyła stara Tatarka. Chodziła po łąkach, lesie i wykopywała jakieś korzenie i liście. Gotowała je i kazała mamie pić wywar. To był taki czarny syrop, który wyglądał jak dziegieć. Mama na początku bała się wziąć go do ust. Pomógł jej. Dzięki tej starej Tatarce mama przeżyła na Syberii. Kiedy pojechaliśmy na południe ZSRR, jej stan zdrowia się pogarszał. Umarła w szpitalu w Persji.

Zawsze dziwiłam się jak ciężko my, dzieci pracowaliśmy na posiołku. Musieliśmy szorować schody, korytarz, ubikacje. Nosiliśmy wodę dla żon strażników. Prałyśmy. Pilnowaliśmy młodsze rodzeństwo, kiedy rodzice szli do pracy. Było bardzo ciężko.

Pewnego razu do naszego posiołka przyjechało kilka aut. Enkawudziści zbierali starszych ludzi z całej okolicy. Rodzinom przyrzekali, że umieszczą ich w domu starców. Będą mieli tam ciepłe pokoiki, wyżywienie. Ludzie uwierzyli, spakowali się i pojechali. Przywieźli ich do naszego posiołka. Powiedzieli im, że spędzą tu tylko jedną noc a następnego dnia pojedą dalej. Nigdy ich stamtąd nie zabrali. Spotykałam ich, kiedy szłam do stołówki kupić porcję kaszy. Mieli puszki, do których przykręcali rączki. Nieraz błagali wzrokiem, żeby ktoś dał im coś do jedzenia. Umierali z głodu. Kiedyś jeden staruszek upadł. Pamiętam, że starał się złapać równowagę i wylało mu się jedzenie z puszki. Był tym wstrząśnięty. Pomogłam mu wstać.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy blisko posiołka znajdował się łagier?

Dioniza Choroś: Tak, był łagier. Taki jakie Sołżynicyn opisywał w swoich książkach. Miał ogrodzenie ze strażniczymi wieżami. Na posiołku tego nie było. Dookoła był las i wiedzieliśmy, że nie ma szansy na ucieczkę. Każdy mówił, że stąd tylko Pan Bóg może nas wydostać. Ludzie wtedy bardzo wierzyli w Boga i modlili się.

Kiedy jechaliśmy saniami do posiołka, drugą noc spędziliśmy u pewnej babuszki. Była bardzo życzliwa. Współczuła nam. Ugotowała krupnik. Mieliśmy wrażenie, że to był królewski posiłek. Później na czystej podłodze rozścieliliśmy pierzyny i położyliśmy się spać. Po jakimś czasie przyszła babuszka i zawołała mamę. Poszły za piec i coś szeptały. Cichutko wstałam z łóżka. Odchyliłam zasłonę i zobaczyłam ikonę na ścianie. Mama klęczała. Twarz schowała w dłoniach. Nie wiem czy płakała, czy modliła się. Babuszka żarliwie modliła się i zamasyście żegnała się po trzy razy. Prosiła Boga, żeby pomógł nam przetrwać. Całowała stopy Pana Jezusa i ramę ikony. Musiała robić to bardzo często, bo w tym miejscu na ramie była zupełnie wytarta farba. Dopiero wtedy się przestraszyłam. Wróciłam pod pierzynę. Płakałam po raz pierwszy od wywózki z Polski. Myślałam o tym, co nas czeka skoro obcy ludzie tak szczerze modlą się za nas.

Chciałabym jeszcze opowiedzieć o pracy dzieci w posiołku. Po jakimś czasie zakazano palenia w piecykach wewnątrz baraków ze względu na ryzyko pożaru. Młodzi pracowali daleko w lesie a w posiołku znajdowała się tylko jedna studnia. Gdyby baraki zaczęły się pa-

lić, nie byłoby komu gasić pożaru. Wszystko by się spaliło. Musieliśmy gotować nad rzeką. Trzeba było zbudować jakieś piecyki. Żadna z nas nie miała murarskich zdolności. Kładłyśmy dwie cegły, paliłyśmy pod spodem i tak gotowałyśmy. Mój kolega Tadek Kulik zawsze pierwszy zdążył ugotować kolację. Raz go zapytałam: *Jak ty to robisz, że zawsze pierwszy ugotujesz kolację?* On mówi: *Bo ja gotuję zupę „nic”.* *Gotuję wodę a w baraku mama dodaje pieprzu i soli. Z kawałkiem chleba jest bardzo dobra.* W tej rodzinie było czworo dzieci a tylko ojciec pracował. Matka miała jedną nogę dużo krótszą i dlatego nie pracowała w lesie. Rodzina musiała przeżyć z pensji ojca. Nie mieli nic do sprzedania. Kiedy wybuchła wojna między Niemcami a ZSRR zmniejszono nam dzienną porcję chleba o połowę: 200 gramów dla pracujących a dla dzieci i chorych po 100 gramów.

Ks. Andrzej Chibowski: W poprzedniej rozmowie opowiedziała Pani jak się udało Pani rodzinie opuścić ZSRR i wyjechać do Persji. Proszę opowiedzieć o życiu w Persji.

Dioniza Choroś: Kiedy przyплыliśmy do portu w Pahlevi, martwiłam się jak znieśmy ze statku chorą mamę. Jednak pracownicy PCK weszli na statek, aby pomóc chorym. Powiedziałam im, że mama jest chora. Wzięli mamę na nosze. Popłakałyśmy się. Powiedzieli nam: *Nie płaczcie. Zabieramy mamę do szpitala a jak tylko jej stan zdrowia się poprawi to ambulansem odwieziemy ją do Teheranu tam gdzie będziecie.* Uspokoiliśmy się. Zeszliśmy na ląd.

Ludzie dziękowali Bogu za wybawienie z zesłania. Padali na kolana, wznosili do góry ręce. Jedni płakali, inni się modlili. Stałam i nie wiedziałam co robić. Nie potrafiłam okazywać swoich uczuć. Tylko płakałam. Kiedy się modliłam, starałam się, żeby nikt mnie nie widział.

Okazało się, że przyjechaliśmy o kilka dni za wcześnie. Nic nie było przygotowane. Nie było namiotów, chleba. Spacerowałam z siostrami po plaży i zobaczyłam maszerujące *pestki*. Tak mówiliśmy na kobiety, które należały do Wojska Polskiego PSK. Zobaczyłam wśród nich najstarszą siostrę. Krzyknęłam: *Bronia!* Wybiegła z szeregu. Przywitała się. Później od swojej przełożonej dostała za to burę.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy po przyjeździe do Persji musieliście przejść kwarantannę?

Dioniza Choroś: W mojej grupie nie było kwarantanny, dopiero w następnych. Pierwszą noc spędziliśmy na plaży. Następnego dnia postawiono namioty i prysznice. Żołnierze zgolili wszystkim włosy, żeby pozbyć się wszy. Przeszliśmy przez kąpiel dezynfekcyjną. Z PCK dostaliśmy nowe ubrania. Stare kalosze wyrzuciłam do ognia i dostałam nowe buty tzw. meszty. Były bardzo niewygodne i utworzyły mi się od nich pęcherze. Żałowałam, że pozbyłam się swoich starych kaloszy.

Nocowaliśmy w budynku kina w Pahlevi. Musieliśmy tam dojść 4-5 km wzdłuż plaży. Było gorąco. Szybko się zmęczyliśmy. Dostaliśmy na kolację chleb z dżemem, białą angielską herbatę i daktylę.

Ks. Andrzej Chibowski: Co stało się z Pani mamą?

Dioniza Choroś: Bronia, najstarsza siostra była w innym obozie. Halina dołączyła do junaczek a ja zostałam w Teheranie. Kierowniczką mojej sali nie chciała mieć pod swoją opieką małych dzieci, więc Bognę musiałyśmy zaprowadzić do sierocińca. Zostałam sama. Codziennie szłam na Mszę św. a potem siadałam przed bramą, za którą było miasto namiotów, czyli cywilny szpital. Przy bramie na warcie zawsze stało dwóch żołnierzy. Kiedyś po skończeniu warty żołnierz podszedł do mnie i zapytał, dlaczego codziennie tu przychodzę. Powiedziałam, że w szpitalu leży moja mama i chciałabym ją zobaczyć. Okazało się, że potrzebuję przepust-

ki. Wydawała je kobieta, której mama w Uzbekistanie pozwoliła przemocować pod naszą pierzyną w zimną noc nad rzeką Amu-darią. Powiedziałam jej, że mama jest bardzo chora. Uściśnęła mnie, ucałowała. Rozpłakałam się. Pocięszała mnie. Dała mi przepustkę i dwie puszdki kompotu dla mamy.

Pobiegłam do obozu, w którym mieszkała moja siostra Bronia. Razem poszłyśmy do szpitala polowego. Mama leżała na łóżku. Była nieprzytomna. Całe popołudnie trzymałyśmy mamę za ręce i modliłyśmy się. Prawie nie reagowała. Następnego dnia znów poszłam po przepustkę. Cieszyłam się, że zobaczę mamę. Przyszła Bronia. Z jej oczu płynęły łzy. Pytam ją: *co się stało?* A ona mówi: *mama umarła*. Miała 38 lat. Lekarz powiedział Broni, że mama była tak wychudzona, że nie mogli zrobić jej zastrzyku. Jej lewa noga bardzo spuchła. Miała tam skrzep. Ważyła 29 czy 39 kg. Tak bardzo wierzyłam, że mama wyzdrowieje. Modliłam się o to. Kiedy dowiedziałam o jej śmierci myślałam, że zwariuję z rozpacz. Bardzo płakałam. Nie mogłyśmy wziąć udziału w pogrzebie, bo nie przeszłyśmy kwarantanny w Pahlevi. Persowie nie chcieli, żebyśmy wychodzili za bramę, bo obawiali się chorób.

Ks. Andrzej Chibowski: Z Teheranu zostaliście przeniesieni do Isfahanu. Proszę opowiedzieć jak wyglądało życie w Isfahanie.

Dioniza Choroś: Wyjechaliśmy z Teheranu wojskowymi ciężarówkami. Jechaliśmy w nocy. Ciężarówka przewróciła się. Kierowca prosił, żeby jak najszybciej z niej wysiąść. Bał się, że wybuchnie i stanie w płomieniach. Pomagałyśmy młodszym dzieciom. Usiedliśmy przy drodze. Słyszeliśmy wycie szakali. Czekaliśmy prawie trzy godziny na inną ciężarówkę. Okazało się, że nikt nie ucierpiał w wypadku. Wszyscy mówili, że to był cud.

Isfahan był czasem powrotu do normalnego życia. Bardzo chcieliśmy nadrobić lata, w których nie mogliśmy się uczyć w szkole. Zorganizowano dla nas harcerstwo. Ks. Tomasik założył sodalicję mariańską. Przyjeżdżali nauczyciele z wojska, którzy uczyli polskiej literatury. Żeby posłuchać takiej lekcji siedziałam pod oknem mimo, że gryzły mnie komary. W sali siedziały licealistki i dwie klasy gimnazjalne. Młodszy nie mieli wstępu.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy podczas pobytu w Isfahanie poznała Pani ks. Michała Wilniewczyca, późniejszego kapelana w Pahiatua?

Dioniza Choroś: Ks. Wilniewczyca poznałam dopiero na okręcie w drodze do Nowej Zelandii. Mieszkał w ormiańskiej części Isfahanu na Dżulfie. Uczył religii młodsze klasy. Mnie uczył ks. Tomasik, który mieszkał u Księży Łazarystów.

Ks. Andrzej Chibowski: Czy w Persji obchodziliście jakieś uroczystości religijne?

Dioniza Choroś: Tak, np. Boże Ciało. Mam zdjęcie z ołtarza przygotowanego przez sodalicję mariańską. Świętowaliśmy: 3 Maja, 11 Listopada, 15 Sierpnia a 27 czerwca imieniny naszych wodzów: gen. Władysława Sikorskiego i gen. Władysława Andersa. W Jedyncy - największym zakładzie – urządzaliśmy akademie. Był śpiew, tańce narodowe. Jedna z wychowawczyń ułożyła piosenkę: *hej tęskno mi za moją polską ziemią. Sny tęskne za moją duszą i ziemią. Coś w sercu brzmi i coś tak płacze, w sercu mym kołacze*.

Ks. Andrzej Chibowski: W 1944 roku sytuacja polityczna zmieniła się i polskie sieroty uratowane z ZSRR przez gen. Andersa musiały opuścić Persję. Wyjechały m.in. do Meksyku, Indii, Rodezji, Nowej Zelandii, aby tam szukać bezpiecznego schronienia a po zakończeniu II wojny światowej wrócić do Polski. Pani wyjechała z grupą 733 dzieci do Nowej Zelandii do Pahiatua. Jak przebiegała ta podróż?

Dioniza Choroś: Do Indii płynęliśmy brytyjskim okrętem Sontay. Ks. Michał Wilniewicz odprawiał na pokładzie Msze św. W dalszą drogę wyruszyliśmy na amerykańskim okręcie wojennym USS General Randall.

Ks. Andrzej Chibowski: Dotarliście do Nowej Zelandii. Jak Pani zapamiętała życie i naukę w Pahiatua?

Dioniza Choroś: Obóz Pahiatua był naszą „Małą Polską”. Małe dzieci były zachwycone. Biegały po trawnikach. Uczyliśmy się w polskiej szkole, chodziliśmy na polską Mszę św. Większość naszych wychowawców i nauczycieli była Polakami. Robiliśmy to, co robią polskie dzieci. Ulice nosiły polskie nazwy. Przybyliśmy do Nowej Zelandii 1 listopada 1944 roku a już 11 listopada przygotowaliśmy akademię.

Ks. Andrzej Chibowski: Pierwszym kapłanem w obozie w Pahiatua był ks. Michał Wilniewicz, który również doświadczył zesłania na Syberię. Jak Pani go zapamiętała?

Dioniza Choroś: Ten ksiądz nas uczył słowem, czynkiem, zachowaniem. Kochał Polskę i wydaje mi się, że kochał nas, mimo naszych wad i czasami złego zachowania. Troszczył się o nas i myślał co z nami będzie jak wyjedziemy z obozu. Ks. Michał Wilniewicz zdawał sobie sprawę, że nie możemy wrócić do Polski. Chciał, żebyśmy się uczyli języka polskiego i pozostali Polakami. Martwił się, że jak będziemy się uczyć w nowozelandzkich szkołach, wejdziemy w związki małżeńskie z Nowozelandczykami to zapomnimy o Polsce. Wszyscy, nie tylko ks. Michał, wpajali nam, że jesteśmy Polakami, że mieliśmy wrócić do Polski.

Ks. Andrzej Chibowski: Przeżyła Pani wiele trudnych momentów. Czego nauczyły Panią te doświadczenia?

Dioniza Choroś: W biedzie Polacy potrafią być dla siebie dobrzy. Czasem nic nie mieliśmy a dzieliliśmy się kromką chleba. Nieraz myślę o tym, ile dobrego doświadczyłam od innych ludzi. Trudno uwierzyć, że ludzie, którzy sami byli głodni, obdarci, potrafili tyle serca okazać innym.

Ks. Andrzej Chibowski: Dziękuję Pani za rozmowę.